

KAROLINA ZIELIŃSKA

NOAH SIE BROTHERS

#1

KSIĄŻKA
Z GATUNKU
NEW
ADULT

ROMANS
GRUMPY X
SUNSHINE

 editio:red

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Dominika Bronk Polonistyczna Krucjata

Korekta: MT Media

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/naaab1>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-0190-2

Copyright © Helion S.A. 2024

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

1

Sky

— To chyba jakiś żart?! — Zdaję sobie sprawę, że podnoszenie głosu w gabinecie dyrektora generalnego AusMedia jest równie nieestosowne co wypychanie do ust garści orzeszków ziemnych, kiedy nikt nie patrzy. Tak, Beatrix, widziałam cię. Swoją drogą, mogłaś mnie poinformować o tym małym szczegółiku. I nie, wcale nie chodzi o orzeszki. Choć oczywiście chciałabym, żeby to one były moim zmartwieniem. Gdybym wcześniej znała prawdę, nie musiałabyś pokazywać mi całego biura i omawiać krok po kroku zakresu obowiązków — zaoszczędziłybyśmy nasz cenny czas.

— Panno Evans, rozumiemy, że sytuacja, w której się pani znalazła, może być przytłaczająca. — Spoglądam na wysokiego mężczyznę w czarnym garniturze i zastanawiam się, ile siły musiałabym użyć, żeby udusić go jedwabnym krawatem oplatającym jego szyję niczym wąż boa.

— Jednakże to nie do końca nasza wina — odzywa się chuda blondyna.

— Nie wasza? — powtarzam, mrugając ze zdumienia. — A czyja, do cholery?!

— Panno Evans. — Znów ta upiorna chudzina. Jezu, kobieto, czy twój zołądek kiedykolwiek strawił donuta? Gdy tylko myślę o pulchnym pączku z dziurką, moje kubki smakowe wywijają salto w przód. Nie jadłam nic od samego rana. Oczywiście wiedziałam, że popełniam jeden z tych głupich, klasycznych błędów, ale żadna siła nie jest w stanie zmusić mnie do zjedzenia czegokolwiek przed siódmą. — Rozumiemy pani wzburzenie, ale proszę się powstrzymać przed używaniem niewłaściwych słów.

— Nawet nie zaczęłam ich używać — odcinam się.

— Przykro nam z powodu tej niezręcznej sytuacji. — Do rozmowy znów włącza się facet w garniturze. Chwila, jak on miał na imię? Bernard? Ugh.

— Osoba, która przekazała informację o rekrutacji, zostanie ukarana. — Chudzina mruży swoje błękitne oczy, a mnie na kilka sekund ogarnia smutek. Z pewnością nad kimś, kto wrzucił na stronę internetową ofertę pracy, zawisły czarne chmury. Nie chcę mieć na sumieniu czyjegoś nieszczęścia.

— Ale chyba nie zwolnicie nikogo, co? — Cholera, naprawdę nie chciałabym, żeby ktoś przeze mnie stracił robotę. Wyobraźnia podsuwa mi obraz zrozpaczonego człowieka ściskającego w dłoniach wypowiedzenie. A jeśli to

jego JEDYNE źródło dochodu, a w domu czeka gromadka dzieci? Urocze czarnoskóre bobasy, które wyrwały się z afrykańskiego piekła. A jeśli ta osoba wpłaca datki na cele charytatywne i piecze ciasto w każdą sobotę? Mój Boże. Nie mogłam być przyczyną czyjejś biedy.

— Wyciągniemy odpowiednie konsekwencje — mówi Bernard. — Proszę się tym nie martwić.

Nie martwić?! Jak miałabym się tym nie martwić?!

— To nie jest konieczne — mruczę. — Pewnie doszło do zwykłego nieporozumienia.

— Czyli już nie ma pani zamiaru pozywać nas do sądu, panno Evans? — Koścista blondyna nadal mruży oczy. Może to przez światło?

— Yyy, nie.

Przeszło mi, gdy tylko pomyślałam o tych biednych afrykańskich sierotach.

— W porządku. Zatem uważam naszą rozmowę za zakończoną. — Bernard się uśmiecha. Chyba z ulgą. Dupek.

— Ja również. Nie widzę sensu, byśmy kontynuowali. Raz jeszcze przepraszamy za niedogodności.

To nie były niedogodności. To były HIPERULTRANIEDOGODNOŚCI, stanowiące moją osobistą porażkę. Jednak prędeż piekło zamarznie, niż się komukolwiek do tego przyznam. Nie ma mowy. Nawet jeśli miałabym spędzić rok, snując się jak cień po zatłoczonych ulicach Brisbane!

Próbuję zapanować nad złością, która kumuluje się w moim sercu. Ten ciężar prawie wbija mnie we wściekle lśniące, białe płytki podłogowe, ale znowu podnoszę dumnie głowę. Nie po to rok temu ubiegałam się o pieprzoną wizę, żeby teraz się poddawać. Wciążam powietrze i dociera do mnie, że przez parę minut milczałam jak zakłęta. To znaczy... jasne, rozmawiałam ze sobą w głowie, ale o tym nikt nie musiał wiedzieć.

— No to — zaczynam koślavo — pójdę już.

Bernard i jego koścista dama uśmiechają się jak na zawołanie. Z pewnością mają mnie dosyć i tylko marzą, bym wyszła z ich firmy. Nie do wiary, że są małżeństwem. Chociaż moja mama uparcie powtarzała, że przeciwności się przyciągają. Być może miała na myśli siebie i ojca? Skrajnie się różnili, co generowało mnóstwo kłótni, ale po każdej burzy wschodzi słońce. Mimo wszystko potrafili wypracować kompromis.

Tak, moi rodzice byli świetną parą. Taką, wiecie, do pozazdroszczenia. Wiele razy zastanawiałam się, jak z czegoś tak pięknego mogła powstać tak wygadana małpa. I nie, nie mam na myśli siebie. Rosie, trzy lata starsza ode mnie, w tym roku będzie obchodziła dwudzieste piąte urodziny i może ten fakt nie jest najważniejszy, ale zawsze, kiedy przywołuję w pamięci Rosie, widzę przed oczami ten ogromny plakat z chippendalesami i moją zrozpaczoną siostrę pochłaniającą kubełek lodów Ben & Jerry's.

Nienawidzę swoich urodzin, jestem coraz starsza, moja skóra ma mniej kolagenu. I ten cholerny tort. To jakby forma znęcania się, wiesz? Dlatego mówię „pas”. Zarezerwowałam sobie bilet na pokaz taneczny tych panów w obcisłych gatkach. Mam nadzieję, że sprostają wymaganiom zrozpaczonej jubilatki.

Uśmiecham się do siebie, a raczej do swoich wspomnień, a potem dostrzegam zdziwione spojrzenie Bernarda i mamrocząc coś niewyraźnie, wychodzę z gabinetu. Uff! Pewnie mają mnie za dziewczynę zmagającą się z początkami choroby psychicznej. Może schizofrenii? Krzywiąc się, idę w kierunku szklanych rozsuwanych drzwi. Schizofrenia jest przerażająca. Wszystkie te urojenia, zaburzenia, które kreują, a często zniekształcają rzeczywistość... Zaraz, dlaczego, do cholery, o tym myślę?

Poprawiając torebkę, która zsuwa się z ramienia, wychodzę z budynku AusMedia i łapię haust ciepłego, suchego powietrza. Nadal nie mogę uwierzyć, że mam na sobie sukienkę na ramiączkach, a jeszcze dwa tygodnie temu trzęsłam się w polarowej bluzie. Jest listopad. LIS-TO-PAD. I po drugiej stronie świata wszyscy wiedzą, że to miesiąc szarości i mizerności. W Portland o tej porze roku temperatura spada do dziesięciu stopni.

Z trudem powstrzymuję śmiech, wyobrażając sobie minę Rosie. Na lotnisku trzymała mnie pod ramię i opowiadała o piękącym słońcu oraz kangurach, a także jęczała, jak bardzo mi zazdrości. Cóż, słońce nie piekło — było przyjemne dwadzieścia parę stopni — a kangury widziałam tylko na TikToku. Serio. Dziwne, że w Brisbane nie ma kangurów, prawda? Przez wszystkie dni pobytu nie zauważyłam ani jednego. To samo z misiami koala. Poniekąd czułam się oszukana.

Zrezygnowana wpatruję się w ulicę i mknące po niej samochody. Czy to odpowiednia chwila, żeby przypomnieć sobie o incydencie, który tylko cudem nie skończył się transportem moich zwłok do Stanów? Przeklęty ruch lewostronny. Komu to potrzebne?

Zachowując ostrożność, zbliżam się do przejścia dla pieszych i czekam, aż sygnalizator rozbłyśnie na zielono. W tym przypadku Australia zgodziła się z resztą świata. Przechodzę na drugą stronę, a kiedy zauważam kilka metrów dalej automat z kawą, moje serce tłucze się niespokojnie w piersi, jakby zaraz miało wyfrunąć. Potrzebuję kofeiny. Kiedy ostatnio piłam kawę? Wieki temu! Jestem przekonana, że to, co podano mi o szóstej rano w bufecie AusMedia, było jedynie wodą zabarwioną na brązowy kolor. Wzdrygam się z niesmakiem. Może to i lepiej, że mnie nie zatrudnili? Nie muszę udawać, że ich kawa jest wspaniała. Była okropna. Mdła. Cienka. Fúj.

Ręką nurkuję w torebce i tłumię głębokie westchnienie pełne irytacji, kiedy palcami napotykam pomadkę, paletkę do cieni, tusz do rzęs, aparat fotograficzny, batonik proteinowy, telefon, kartę do hotelowego apartamentu, w którym się

zatrzymałam, a który mieli opłacić moi przyszli pracodawcy. Prawda, że miło z ich strony? Szkoda, że okazali się gnojkami z kiepską kawą.

Zaraz wybuchnę. Gdzie, u licha, podział się mój portfel?! Zaciskam zęby i licząc w pamięci od zera do stu, raz jeszcze przeglądam zawartość torebki. To właśnie dlatego ich nie lubię! Cokolwiek bym tam włożyła, niemal natychmiast ginie, przez co mam ogromną ochotę zadzwonić na 000 i złożyć pełne zeznanie w sprawie zaginięcia portfela.

Panie władzo, proszę zanotować, że zaginiony to watowany portfel w groszkowym kolorze. Z dwiema przegródkami i jedną suszoną rybią łuską — pamiętką po mojej złotej rybce, która miała w nosie spełnianie życzeń.

Boże, Skylar. Skup się. I przestań gadać sama ze sobą!

Upominam się w myślach i wreszcie moje palce namierzają skurczybyka. Udało się! Wyjmuję portfel co najmniej z taką satysfakcją, jak król Artur Ekskalibura. Pławię się w blasku słońca, a do pełnej gloryfikacji brakuje tylko konfetti. Zadowolona wygrzebuję parę centów i po wciśnięciu ich w niewielki otwór wybieram dużą latte. Przypominam teraz dziecko wyczekujące pierwszej gwiazdki podczas Wigilii. Przeszuję z nogi na nogę i kiedy już mam zacząć rzucać obelgi pod adresem maszyny, ta wydaje z siebie cichy przeciągły pisk i oznajmia, że mój kofeinowy napój został zrobiony. W końcu! W pośpiechu biorę gorący kubek, parząc sobie opuszki palców. Nieważne. Wypijam kilka łyków, a mój przełyk staje w ogniu. Nieważne. Ciepło rozchodzi się po całym ciele, ale nawet to mnie nie powstrzymuje. Kawa jest przepyszna. Idealna. Mogłabym wyśpiewywać sonaty na jej cześć.

— Lepiej, żebyś pojawił się punktualnie. Tym razem nie żartuję, Nate. Mam mnóstwo roboty. Nakopię ci do dupy, jeśli się spóźnisz.

Och. Co za narwany typ! Przyglądam się mężczyźnie w ciemnoszarym garniturze, który stoi obok mnie. Brzmi jak Chris Hemsworth i ściska obudowę telefonu, warcząc do słuchawki niczym wściekły zwierz. Zdecydowanie musiał wstać lewą nogą. Zerkam na jego czarną koszulę, a potem na lśniące, eleganckie buty w takim samym kolorze. Na pewno pracuje w korpo.

Pochłaniam resztki wspaniałej latte i bezwstydnie mierzę go wzrokiem. Jest wysoki, wyższy od Bernarda. Zaciśniętą szczękę pokrywa tygodniowy ciemny zarost i... właśnie zmierza w moją stronę. Cholera. Cholera! Czyżby się zorientował, że zaczęłam mu się przyglądać? Stoimy naprzeciwko siebie, a woń bergamotki i silnego piźma mocuje się z moimi słodkimi nutami mirabelek i frezji. Świat zwalnia, gdy patrzę, jak wielką dłońią wędruje do kieszeni garniturowych spodni, wyjmując czarny skórzany portfel i wsadza do mojego pustego papierowego kubeczka dziesięciodolarowy banknot.

— Co jest? — wyduszam.

— Przykro mi, nie mam więcej — odpowiada, chowając portfel.

Jestem w szoku. Gapię się na podobiznę Andrew Bartona Petersona i walczę ze wstydem, który pozbawia mnie rozsądku.

— Wsadź to sobie w tyłek — mamrocze wściekła.

— Słucham?

Przełykam głośno ślinę. Nie jestem gotowa na konfrontację, ale, do diabła, muszę bronić swojej godności! Unoszę podbródek i patrzę typowi w oczy.

— Nie potrzebuję pieniędzy.

— W porządku. Nie krępuj się. Nic od ciebie nie chcę w zamian.

No nie! Czuję, jak złość wzbiera we mnie coraz bardziej i bardziej. Okej, może nie mam na sobie sukienki od znanego projektanta, a moja torebka nie jest wysadzana diamentami, ale, święty Boże, wcale nie wyglądam na potrzebującą! Piorunuję wzrokiem Zwierza w garniturze, który marszczy ciemne brwi. Zaczynam się trochę bać, bo nagle sprawia wrażenie groźnego, a serce wali mi tak mocno, że obija się o żebra. A jeśli to płatny morderca? Albo członek jakiejś mafii? Co, jeśli właśnie postawiłam się przestępcy? SOS!

Zwierz przypatruje się mojej twarzy, jakby się zastanawiał, gdzie powinien wbić ostrze noża. Zaczynam się nerwowo rozglądać wokół z nadzieją, że znajdę jakiegoś supermana, który uratuje mnie z opresji. Milczę. On także. To jest dziwniejsze, niż sądziłam. W pewnej chwili jego wielka dłoń znów kieruje się do kieszeni spodni, a ja zamieram. Jestem przekonana, że wyjmie z niej jakąś broń. Moje dni są policzone. Żegnaj, piękna Australio, żegnaj, przepyszna kawo.

— Dobra, dołożę — mówi i dorzuca do kubeczka dwadzieścia dolarów.

Czyli jednak miałeś więcej. Nieladnie kłamać.

Już otwieram usta, żeby udzielić mu słownej reprimendy — bo nagle okazuje się, że moje poczucie sprawiedliwości jest silniejsze niż obawa o własne życie — ale w tej samej chwili podjeżdża czarny SUV i Zwierz oddala się w jego kierunku energicznym, sprężystym krokiem. Świetnie. Zostałam więc z trzydziestoma dolcami i urażoną dumą. Przyglądam się swojej sukience i już nie czuję zachwyty jak w dniu, w którym ją kupowałam.

Stop. Przestań się przejmować tym jaskiniowcem. Co cię, do cholery, obchodzi, że jakiś nieogolony mamut wziął cię za osobę, która żebrze na ulicy?

Mój Boże. To brzmi tragicznie! Zebrze?! Litości!

Pomyśl o tym w ten sposób: masz trzydzieści dolarów.

Hurra, właśnie rozbiłam bank. A raczej portfel. Jezu.

Kup sobie pączka.

Tak. Zdecydowanie kupię sobie pączka.

* * *

No dobra. Wpadłam w bagno, ale nie z takimi rzeczami radziła sobie Skylar Evans.

Uśmiecham się na wspomnienie słów kościstej blondynki. Niedogodności! Jak mogła nazwać niedogodnością moje zeszloroczne ubieganie się o wizę, przelot na drugi koniec świata, największy jet lag w historii i oberwanie drzwiami jakiegos samochodu, bo oczywiście kierowca wysiadł z lewej strony? To uderzenie było tak silne, że moje ciało nagle przełączyło się w tryb awaryjny, a w oczach pociemniało mi na tyle, że straciłam równowagę i runęłam na chodnik, cudem nie rozbijając sobie czaszki.

Wzdycham ociężale i spoglądam na kartkę, którą przed chwilą zabazgrałam niebieskim tuszem.

Po pierwsze: znaleźć pracę.

Po drugie: znaleźć pracę.

Po trzecie: zobacz punkt pierwszy.

Ugh. Patrzę smętnie na dwie walizki. Na szczęście mają kółka i nie muszę ich dźwigać — w przeciwnym razie mój kręgosłup zacząłby wyć, domagając się odszkodowania. Spoglądam na kelnera, który kręci się nieopodal mojego stolika, i pytam go, czy potrzebują pracownika. Wygląda na zaskoczonego, ale szybko potrząsa głową. No tak. Jasne, dlaczego nagle miałoby im kogoś brakować? Dopadają mnie wątpliwości i przez chwilę rozważam powrót do Portland, ale wizja matki patrzącej na mnie z dezaprobatą i wypowiadającej trzy magiczne słowa, które odbierały mi zapal do życia, skutecznie odsuwa ten pomysł. Nie mogę wrócić. Nie teraz. Nie pozwolę, żeby miała rację. Wylot do Australii nie okaże się porażką. Udowodnię, że świetnie daję sobie radę, choćbym do końca życia jadła twarde ser i popijała go zsiadłym mlekiem.

Wstaję od stolika, wysuwam rączki przy obu walizkach i dumnie opuszczam hotel. Trochę żałuję, bo jest naprawdę fajny, ale cena pobytu okazała się zbyt wysoka dla osoby, która dopiero poszukuje zatrudnienia. Co innego, gdyby AusMedia... Ach.

I po co znów to robisz, głupia głowo? Lubisz mnie dotować? Jedziemy na tym samym wózku! Koniec!

Nigdy więcej nie pomyślę o AusMedia. Nie będę wspominała, jak odpowiedziałam na ich ofertę pracy, a oni pozytywnie rozpatrzyli moje podanie i zaprosili mnie do biura. Nie! Nigdy więcej! Oddziałam ten rozdział grubą czerwoną kreską.

Siadam na ławce przed hotelem i wyjmuję telefon. Rozsądek podpowiada mi, że powinnam poszukać ofert w necie. Przez kolejne piętnaście minut sprawdzam ogłoszenia, po czym zrezygnowana wpisuję w Google'a „agencje pracy w Brisbane”. Wiem, że muszę znaleźć coś, co będzie zlokalizowane blisko ewentualnego noclegu. Czuję pulsowanie w głowie, a stres wręcz osiada na moich barkach. Kopiuję adres jednej z agencji i przełączam się na nawigację. Droga na szczęście nie jest tak straszna, jak się spodziewałam. Zaledwie godzina pieszo.

Zamów taksówkę.

Nie będę traciła pieniędzy.

Chcesz dojechać na miejsce, ziejąc jak pies? Zastanów się.

Dobra. Może taksówka to wcale nie taki zły pomysł. Dzwonię i podaję adres hotelu, a potem czekam kolejny kwadrans.

Przez ten czas zdążyłam porządnie zgłodnieć, w dodatku moje myśli zajmują wszystkie te smakowite zapachy unoszące się w powietrzu. To nie fair, że na tej ulicy są same knajpy. Wsuwając do ust batonik musli, fantazjuję, że jest chrupiącą sałatką z grillowanym kurczakiem. Zaraz jednak przypominam sobie o filmiku, który widziałam, gdy byłam jeszcze w Portland. Te biedne kury ściśnięte w wąskich klatkach nawiedzały mnie przez tydzień. Chciałam przejść na dietę wegetariańską, ale mój organizm za każdym razem podejmował walkę przeciwko dobrym intencjom. Nie potrafiłam się przestawić, a tofu było okropne. Uznałam, że ograniczenie konsumpcji mięsa również jest krokiem w dobrą stronę. Może nie tak wielkim, ale zawsze.

Taksówka podjeżdża z lekkim opóźnieniem, ale kierowca jest na tyle pomocny, że pomaga mi z walizkami, więc złość zupełnie przechodzi. Jadąc, słuchamy w radiu Spice Girls i rozmawiamy o pogodzie. Taksówkarz mówi, że bywało cieplej, a ja powstrzymuję swoje gałki oczne przed wypadnięciem, gdy moje usta powtarzają bezgłośnie „listopad”. Przez zbyt dużą różnicę w porach roku wciąż mam problemy z zapamiętaniem faktu, że zimowo-jesienne miesiące są tymi najbardziej upalnymi w Australii. *Szaleństwo.*

Po dwudziestu minutach docieramy do agencji pracy. Kierowca ponownie pomaga mi z walizkami i na odchodne życzy powodzenia. W odpowiedzi uśmiecham się szeroko i nie tracąc czasu, maszeruję w stronę foremnego budynku z czerwonej cegły. Nie wiem, czego się spodziewać, ale jestem przyparta do muru. Serio. Bez pracy nie będę mieć pieniędzy, a bez pieniędzy... cóż, wiadomo. Targając za sobą walizki, utrzymuję ten głupkowaty uśmiech i już po kilku sekundach na mojej drodze staje młody chłopak z dredami.

— W czymś pomóc? — pyta uprzejmie.

— Szukam pracy — wypalam.

— Była pani umówiona na spotkanie?

Spotkanie?

— Nie.

— W takim razie... — Zerka w kierunku drzwi.

Świetnie. Wprost wspaniale!

— Jestem pewna, że macie jakieś fajne oferty — zaczynam. — Nie jestem wymagająca. To znaczy... trochę jestem, ale bez przesady.

Och, zamknij się, Sky.

— Jestem fotografem — ciągnę.

- To interesujące. — Pociera brodę.
— Robiłam zdjęcia dla „Nature” i „Wild Eye”. — Wymieniam osiągnięcia.
— Mhm.
— Jestem zorganizowana i właściwie niedawno przyleciałam do Australii. W zasadzie to jakiś tydzień temu, lecz pięć z siedmiu dni było totalną porażką. Jeszcze nigdy nie miałam tak potężnego jet lagu.
— Amerykanka, prawda? — Uśmiecha się słabo. — Poznałem po akcencie.
— Oto ja! Amerykanka pełnej krwi.

Poważnie, Sky. Zamknij się.

- Dlaczego Australia?
— Yyy, to pytanie rekrutacyjne? — Waham się.
— Nie, czysta ciekawość.
— Potrzebowałam zmiany otoczenia.
— I dlatego wybrała pani drugi koniec świata?
— Tak. — Zaciskam zęby. — Co w tym złego? Jesteście szczęściarzami, skoro macie cholerne słońce w listopadzie. Serio, wiem, co mówię. Pochodzę z Portland.

Nigdy nie dostaniesz pracy, ty tępa idiotko.

— Nigdy nie byłem w Portland.

— Nie ma czego żałować. No, może poza ruinami nawiedzonego domu starej czarownicy. To naprawdę świetne miejsce.

Koleś z dredami przypatruje się uważnie mojej twarzy, a potem wolno kiwa głową.

Jestem spalona. Boże, dlaczego, do cholery, nie zakleiłeś mi ust? Patrzyłeś z góry na mój upadek i nie zrobiłeś nic, żeby mnie ochronić. To niezbyt miłosierne z twojej strony.

— Niech pani pójdzie za mną, znajdziemy coś.

— Co?

— Pracę — uściśla.

Moja szczeka omal nie ląduje na podłodze.

— To znaczy, że mi pomożecie?

— Jasne. Od tego są agencje.

A jednak cuda się zdarzają!

Alleluja!

Przepiękne, maleńkie cuda, które popychają do przodu i nie pozwalają zwątpić. Boże, kocham cię.

Człapię za chłopakiem w dredach. Ma na sobie bojówki w kolorze khaki i czerwoną koszulę z krótkim rękawem. Gdy wlepiam oczy w jego plecy, przypomina mi się wuj Earl. Muszę coś zjeść. Mój mózg robi dziwne rzeczy, kiedy jestem głodna.

Wchodzimy do niewielkiego pomieszczenia z biurkiem, dwoma krzesłami i laptopem. Jest minimalistycznie, ale czysto. I pachnie czymś orzeźwiającym. Pan Dred siada na krzesło obrotowym i posyła mi uśmiech.

— Czyli fotografia? — pyta.

— Jakby dało radę. — Marszczę nos. — Te wszystkie kursy trochę kosztowały.

— Jak najbardziej rozumiem. Praca na pełen etat wchodzi w grę?

— Tak.

— Zmianowa?

— Mhm — wzdycham żałośnie.

Dred przekopuje bazę w poszukiwaniu odpowiedniej pracy dla mojej skromnej osoby, a ja coraz częściej muszę upominać nieznośny żołądek. Splatając dłonie na brzuchu, obiecuję mu, że jak tylko znajdę robotę, to wypcham go po same brzegi.

Dred znów się uśmiecha, ale jestem zbyt zajęta pochłanianiem blanszowanych marchewek w swojej nad wyraz wybujałej wyobraźni. Nie wiedziałam dlaczego, ale już w dzieciństwie była wyjątkowo rozwinięta. Potrafiłam wymyślać różne rzeczy, niekoniecznie dobre. Zapamiętajcie złotą radę Skylar Evans: jeśli sądzicie, że rakiety od tenisa mogą zastąpić narty, to jesteście w błędzie, a jeśli mimo wszystko wydaje wam się, że udawanie sławnych skoczków narciarskich nie spowoduje połamania nóg, to jesteście w BARDZO wielkim błędzie.

— Niestety nie widzę żadnych ofert dotyczących fotografii.

— To może obróbka zdjęć? Mam certyfikaty.

— Pod tym kątem też szukałem.

— Nie ma dla mnie pracy? — jęczę, a moja szatańska wyobraźnia podsuwa mi obraz nędzy i rozpaczy. — Muszę coś znaleźć, inaczej mnie deportują.

Dzięki, głowo, od razu mi lepiej.

— Ile ma pani czasu?

— Dwadzieścia osiem dni.

— Hm, może nie będzie tak źle. Widzi pani, praca jest, ale trochę odbiega od wcześniejszych kryteriów.

— Co to takiego? — dopytuję.

Fryzjerka? Kosmetyczka? Może kelnerka?

— Znajduję mnóstwo ofert poza miastem.

— Gdzieś poza Brisbane? — upewniam się.

— No. Do pięćdziesięciu kilometrów.

Ugh.

— Nie znam dobrze Australii. Moim głównym narzędziem orientacyjnym jest Google Maps.

— W Wamuran szukają do pomocy na farmie — rzuca, a ja omal nie krztuszę się własną śliną.

GDZIE?

— Fa-farmie? — wyjąkuję. — Takiej ze zwierzętami?

— Tak. W opisie widzę, że są zwierzęta. Przeczytać na głos? Bierzemy to pod uwagę? Czy odpuszczamy i szukamy dalej?

— Nie wiem, nie jestem przekonana.

— Zapewniają wyżywienie, nocleg i umowę. To naprawdę fajne warunki. Czytać?

— Niech będzie, chociaż z ciekawości.

— „Cześć, dziękuję, że zainteresowałeś/łaś się moją ofertą”... Bla, bla... O, konkret. „Praca od poniedziałku do piątku, trzydzieści pięć dolarów na godzinę, typ umowy według potrzeb”. To akurat fajne, nie każdy pracodawca jest taki hojny. „Wymagania: uczciwość, odpowiedzialność, doświadczenie przy pracy ze zwierzętami mile widziane”.

— No dobra, a obowiązki?

— „Czyszczenie końskich boksów, karmienie zwierząt, pomoc domowa i ogólne prace na farmie”.

— Jakie ogólne?

— Nie podano, ale pewnie to nic straszego. Moim zdaniem to dobra oferta. Dużo płacą, wyżywienie i nocleg są w komplecie. Podejrzewam, że przy umowie dostanie pani jakieś podstawowe ubezpieczenie.

— A inne oferty? — Nie tracę nadziei.

— Zbieranie truskawek. Też w Wamuran, ale bez wyżywienia, i stawka trzydzieści na godzinę.

— Coś jeszcze?

— Prace fizyczne przy maszynach rolniczych, praca produkcyjna przy pakowaniu ananasów, zbieranie awokado, praca z bydłem.

Robi się coraz ciekawiej.

— Kto wystawił ogłoszenie o pracy na farmie?

— Tej z Wamuran za trzydzieści pięć dolców? Grace Millis.

Nie musiałabyś szukać noclegu i nie traciłabyś kasy na jedzenie.

Okej, może oferta nie była najgorsza, ale... farma?! Przecież ja nigdy nie miałam styczności z gospodarstwem!

Wymówki.

Boję się koni! A jeśli będą jeszcze jakieś zwierzęta? Na przykład byki? O Boże, do byka nie podejść. Nie ma opcji. Z koniem może będę umiała się oswoić, ale z bykiem?! Albo bizonem?! Chwila, czy w Australii są bizony?

Nocleg i wyżywienie. No chyba, że chcesz wrócić do Portland z podkulonym ogonem?

— Dobra. Biorę!

2

Sky

Oszalałam. Postradałam wszystkie zmysły. Australijskie słońce wypaliło dziurę w moim mózgu i stałam się kompletnie niemyślącą istotą, która od trzech godzin targa swoje dwie walizy w poszukiwaniu jakiegokolwiek połączenia do Wamuran. Na dobrą sprawę nawet nie wiedziałam, kim jest moja przyszła szefowa. Pan Dred powiedział tylko, że ma na imię Grace i zaakceptowała moją kandydaturę. Boże. Nigdy nie pracowałam w gospodarstwie. Mało tego, wieś widziałam może trzy razy w swoim życiu!

Urodzona i wychowana w Portland. Nauczona wyśpiewywać Born In The U.S.A. Bruce'a Springsteena, zanim podjęła naukę chodzenia. Tak. To ja.

A teraz jestem na drugim końcu świata. W słonecznej Australii, gdzie panuje ruch lewostronny i wszyscy zamiast „dzień dobry” mówią szybkie „dobry” oraz wciskają ci trzydzieści dolców, uważając cię za ofiarę losu. Nie mam pojęcia, kim był Zwierz w ciemnoszarym garniturze, ale z chęcią wyjaśniłabym mu, że wcale nie potrzebuję jego łaski. Na jakiej podstawie, do cholery, uznał, że powinien wrzucić banknoty do mojego kubeczka po cudownej latte?!

Dlaczego w ogóle myślisz o tym nieokrzesanym Australijczyku?

Ugodził moją dumę! Zresztą nie wiem, czy jest Australijczykiem, bo do tej pory wydawało mi się, że to bardzo sympatyczny naród.

Słyszałaś jego akcent. Na bank jest Australijczykiem.

Ugh! Dobra. Skończ już.

Skupiam się po raz dziesiąty na rozkładzie jazdy autobusów, który wyszukałam w necie jakieś trzydzieści minut temu. Nadal jest mało czytelny. Jak oni, u licha, radzą sobie z komunikacją miejską? Może mają jakieś tajne szyfry?

Czuję, że pot spływa z mojego czoła. Jestem zmęczona. Wzdycham cicho. Całe szczęście, że dotrzymałam słowa żołądkowi i po znalezieniu pracy zaabrałam go na porządny obiad, bo w przeciwnym razie teraz na pewno padłabym trupem. Krzywię się, wyobrażając sobie czerwony pasek u dołu w wieczornych wiadomościach CNN.

Nabieram powietrza i powoli je wypuszczam, chcąc się w ten sposób nieco odstresować, ale marnie mi wychodzi. Po kolejnych kilkudziesięciu minutach

udaje mi się dowiedzieć, że autobusem z East Service Road dojadę do Morayfield w południowym Caboolture. Czeka mnie siedem przystanków, a podróż zaplanowana jest na dwadzieścia sześć minut i kosztuje trzy dolary. Nieźle.

Rezerwuję bilet i nie tracąc czasu, ruszam w stronę pętli autobusowej. W Brisbane wszystko znajduje się daleko, ale staram się nie myśleć o mięśniach łydek, które stają mi w ogniu podczas biegu. Spieszę się. Nie chcę tracić szansy, a świadomość, że od celu dzieli mnie co najmniej dziesięć kilometrów, jeszcze bardziej motywuje. Nie chcę pojawiać się w Wamuran wieczorem. Wtedy na pewno zamiast stanowiska otrzymam znów jakąś jałmużnę.

Trzydzieści dolarów to nie jałmużna.

Nieważne! Nerwy szarpiają mną coraz mocniej. Rączka walizki wyślizguje się z moich dłoni, kiedy przechodzę przez przejście dla pieszych, a bagaż łąduje z hukiem na ulicy. Zaciiskając zęby, udaję, że nic wielkiego się nie stało, i macham wściekłemu kierowcy tuż przed maską, a ten mamrocze coś pod nosem i wciska klakson.

Kto, do diabła, uznał Australijczyków za miły naród?! Do poprawy! Natychmiast!

Przebiegam na drugą stronę, poprawiam włosy, które od kilku godzin żyją własnym życiem i żadne argumenty do nich nie trafiają, a potem biorę głęboki wdech i znów pędzę. Tak naprawdę nigdy nie lubiłam biegać; nawet w szkole podczas ćwiczeń wołałam symulować jakąś chorobę, niżeli pokonywać tysiąc metrów na stadionie. Na samo wspomnienie tyczkowej wuefistki w granatowym dresie dostaję gęsiej skórki. I to nie tak, że miałam gdzieś swoje zdrowie, kondycję i wszystko inne, z czym powiązana jest dobra sprawność fizyczna. Po prostu szkoła nie zapewniała mi tego, czego potrzebowałam.

Uśmiecham się do siebie, kiedy przypominam sobie pływanię na 72 Avenue. Jestem znakomitą pływaczką, kiedyś nawet proponowano mi wstąpienie do drużyny, lecz odmówiłam. Być może popełniłam błąd, bo teraz jedna z dziewczyn ma prywatny samolot i kilka milionów na koncie. I na pewno nie będzie musiała pracować na wsi gdzieś na odludziu. Naprawdę, cholera jasna, trzeba było przyjąć ich propozycję!

Zastanawiam się, czy nadal mam jakiejkolwiek szanse, aż dostrzegam przystanek autobusowy z wieloma peronami i jeszcze większą ilością autobusów. Wszystkie piętrowe. W Portland też mieliśmy piętrowe autobusy, ale zwykle były przeznaczone do długich tras. Takich, które trwają z dwa dni.

Pot splywa mi cienką strużką po karku, ocieram wierzchem dłoni czoło i poprawiam walizki. Ostatnia prosta. Zerkam na wyświetlacz komórki i upewniając się, że ten ogromny niebiesko-biały autobus linii 895 jedzie w kierunku Morayfield, pakuję się do środka. Prócz mnie jest jeszcze kilkunastu innych pasażerów. Nie każdy ma walizki. W zasadzie tylko ja je mam, ale ludzie nie patrzą się dziwnie, więc oddycham z ulgą i zajmuję przypisane miejsce

w pierwszym rzędzie pod oknem. Pojazd rusza z delikatnym opóźnieniem, ale Avril Lavigne, którą słyszę w swoich bezprzewodowych słuchawkach, uspokaja moje nerwy. Nawet nie wiem, kiedy odpływam. To dość niebezpieczne, zwalżywszy na sytuację, w której się znalazłam. Ktoś mógłby mnie okraść albo...

Okraść? A niby z czego?

Z rzeczy! Mam mnóstwo ciuchów, butów, torebek i kosmetyków.

Czyli idealne wyposażenie na australijską wieś.

Hej! Wtedy nie wiedziałam, że będę zmuszona pracować na gospodarstwie, okej? Przygotowałam się na podbój wielotysięcznego Brisbane, a nie stodoły czy... obory.

Nagle dopadają mnie wątpliwości. Czy to rzeczywiście dobry pomysł? Może powinnam była poszukać innej agencji pracy? Och, na litość boską. Dlaczego zawsze wszystko chrzanię? Dlaczego nie mogę być samowystarczalną, mądrą, zaradną pięknoscią o lazurowych oczach, dla której życie to nieustająca przygoda i spadające kokosy z nieba?!

Nie mam czasu odpowiedzieć sobie na postawione pytania, bo autobus zatrzymuje się na przystanku w Morayfield. Gdy podnoszę się z miejsca, moje mięśnie są zastane, ale wdzięczne za odpoczynek. Ciągnę za sobą walizki po wąskich stopniach. Łup! Łup! Łup! Słyszę, jak koła odbijają się od metalowych schodków. Nie odwracam się za siebie, choć mam nadzieję, że nie uszkodziłam bagażu.

Południowa część Caboolture jest równie ciepła co Brisbane, ale z jakiegoś nieznanego mi powodu większość mijających mnie ludzi ma na sobie koszulki z długimi rękawami. Słońce przyjemnie ogrzewa mi twarz, kiedy sprawdzam kolejne połączenia do Wamuran. Mam w sumie dwie opcje. Albo pojadę tak-sówką, albo znów będę zmuszona szukać odpowiedniego przystanku autobusowego. Zerkam na ceny. Czterdzieści dolarów za jedenaście kilometrów usługą Yellow Cab albo dwa dolary za podróż autobusem z linii Caboolture Central z pięcioma przystankami. Wybieram to drugie. Kiedy przyjechałam do Australii, czułam się jak królowa, ale wystarczyło siedem dni, żebym zauważyła, jak cholernie Brisbane wyniszcza mój portfel. Nie mam zamiaru zatem szastać gotówką. Zanim jednak udaję się w kierunku podanym przez Google Maps, zatrzymuję się w piekarni i kupuję dwie bułki z nasionami dyni i kawę na wynos. Stresuję się.

Popijam kawę i próbuję wyobrazić sobie moment, kiedy docieram do Wamuran, a potem stoję przed drzwiami jakiejś gospody i szefowa wręcza mi drewnianą maselnicę wraz z chodakami. Potrząsam głową z przerażeniem i znowu myślę, czy nie popełniam głupstwa.

Gdy docieram na przystanek, na zegarach wybija czwarta po południu, a karmórka zaczyna wibrować w mojej ręce, wypluwając z siebie numer Rosie. Ugh. To nie jest dobry czas.

— Czeeeść, Sky! — krzyczy do słuchawki, kiedy akceptuję połączenie.
— Wszystko w porządku? — pytam i kieruję się w stronę białego autobusu.
— Jestem u Tommy'ego — szepcze. — Wiesz, tego z długą brodą.
— U wikinga? — jęczę. — Mówiłaś, że nigdy więcej się z nim nie spotkasz po tym, jak wydlubywał resztki jedzenia wykalaczką.

— To był patyczek od lodu — mamrocze. — Zresztą nieważne. Dostałaś już tę robotę?

— Yyy...

— Wiedziałam! Jesteś najlepsza!

— Dzięki.

Wsiadam do autobusu, przekonując samą siebie, że wcale nie okłamałam siostry.

— Masz jeszcze jet lag?

— Nie, na szczęście odpuścił po tygodniu. Dlaczego akurat u wikinga? Czyżby w Portland zabrakło facetów?

— Nie jest taki zły przy bliższym poznaniu — chichocze. — Ta jego maczuga!

— Stop! Nie chcę znać szczegółów!

Rosie rechocze do słuchawki. Jestem pewna, że przegięła z alkoholem.

— To dobrze, bo pewnie nie byłabym w stanie ci wszystkiego opowiedzieć. — Ziewa. — Jutro mam koszmarnie spotkanie z tym nadętym kolesiem od marketingu. — Śmieję się pod nosem. — A może przetransportujesz mnie do siebie? Miałabym to już z głowy. U was jest już czwartek, prawda?

— Mhm.

— Linia zmiany daty jest dziwna.

— Cholernie! — przytakuję, siadając na wolnym miejscu.

— Opalisz się. Wrócisz brązowa jak kupa.

— Fuj! — Marszczę nos z obrzydzeniem.

— Zastanawiałaś się kiedyś nad tym?

— Nad czym?

— Dlaczego kupy są brązowe?

— Bo były w Australii? — rzucam, śmiejąc się jak wariatka.

— Właściwie bardziej chodziło mi o jakieś związki chemiczne, ale możesz mieć rację!

— Omal nie dławie się swoim rechotem.

— Idź spać — mruczę, ocierając łzy z oka. — Poważnie, musisz iść spać.

— Wiem. Jestem śpiąca. To był paskudny dzień. Kiedyś zabiję swojego szefa i wrzucę jego ciało do rzeki.

— Dobranoc.

— Dobranoc, brązowa kupko.

Chowam telefon i próbuję zapanować nad rozbawieniem. Muszę przyznać, że cieszę się jak dziecko z powodu tego telefonu. Brakowało mi naszych rozmów.

Spoglądam na krajobraz za szybą i dociera do mnie, że znajduję się gdzieś na obrzeżach miasta, a potem autobus nagle się zatrzymuje. Halo! Co jest? Pękła opona? Rozglądam się nerwowo i widzę, jak ludzie podnoszą się z foteli.

— Mamy awarię? — pytam jedną ze współpasażerek.

— Nie — odpowiada. — To końcowy przystanek.

Końcowy przystanek!

— Wamuran!? — piszczę.

— Ano.

Kiwam głową i mamroczę podziękowania, chwytając za walizki. Jestem tak blisko celu, że moje serce prawie wyrwa się z piersi w stanie euforycznej ekscytacji. Przesuwam się grzecznie w kierunku wyjścia. Czuję promienie słońca muskające policzki. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie podpiszę umowę o pracę i odpocznę.

Łapię w płuca suche powietrze i wychodzę na popękany chodnik. Nie przejmuję się. W Portland przecież mieliśmy mnóstwo podobnych. To nic takiego. Serio. Zadowolona wyjmuję komórkę i sprawdzam adres — 1 McConnell Road znajduje się siedem kilometrów stąd.

SIEDEM KILOMETRÓW!

Nie dowierzam. Chyba Google Maps ma jakąś usterkę. Odłączam się od netu, po czym ponownie wszystko uruchamiam i nadal widzę tę przekłętą odległość. To nie może być prawda! Żołądek ściska mi się w węzeł, jestem bliska rozpaczki.

Dobijcie mnie. Po prostu zabijcie. Serio.

Patrzę na swoją wyniecioną sukienkę i oczami wyobraźni widzę lepiące się do czoła kosmyki włosów, rumieńce na policzkach i zaciśnięte usta. W niczym nie przypominam dziewczyny sprzed parunastu godzin. Dziewczyny, która z uśmiechem szykowała się na rozmowę z dyrektorem Bernardem w AusMedia.

Gdzie ten pieprzony deszcz meteorytów?!

Boli mnie głowa. Mam ochotę się rozplakać, ale szybko biorę się w garść i unoszę podbródek. To nie pierwszy raz, kiedy los pokazuje mi środkowy palec. Umiem sobie radzić z patowymi sytuacjami. Przeżyłam wiele rozczarowań i wszystkie mnie wzmocniły. Jestem Skylar Evans i wyleciałam do Australii, by udowodnić, że dam sobie radę. Nie ma mowy, żebym teraz zaczęła płakać i się użalać!

Zaciskam zęby i ruszam zgodnie z niebieskimi kropeczkami na wyświetlaczu. Siedem kilometrów to godzina marszu, no, może trochę więcej niż godzina. Wamuran słynie ze świeżych truskawek i ananasów, a mój wzrok przyciągają farmy owoców. Jest ich naprawdę dużo i każda poszukuje pracowników. Pewnie oferty kilku z nich przedstawił mi Pan Dred w Brisbane.

Idę szeroką drogą usłaną kamieniami i co chwilę się zatrzymuję, by zerknąć na kropeczki, które przybliżają mnie do celu. Tracę poczucie czasu. Gardło mam wyschnięte na wiór, więc wchodzę do małego sklepiku, kupuję wodę i niemal od razu wypijam połowę butelki, a słońce niebezpiecznie szybko pochyla się ku zachodowi. Nie jest dobrze.

— Zgubiłaś się, mała? — Podskakuję na dźwięk nieco skrzeczącego męskiego głosu. Spoglądam na faceta, który właśnie do mnie zagadał. Jest średniego wzrostu, z lekką otyłością, ale ma sympatyczny wyraz twarzy i mocno opalone ramiona, które kontrastują z białym podkoszulkiem wetkniętym w niebieskie dżinsy.

— Nie, skąd.

— Jakoś ci nie wierzę. Brisbane jest w drugą stronę. Wiesz o tym, hę?

— Wiem.

Właśnie stamtąd przyjechałam!

— Po co te walizki, hę? — Facet ma orli nos i czarną czuprynę, a na jego nogach zauważam kowbojki. Tak. Zupełnie jak w Teksasie.

— Spieszę się.

— Taa? A dokąd?

— Nie chcę być niemila, ale to nie twój interes.

— Schowaj pazury. — Śmieje się. — Jestem Buck.

Ta informacja właśnie odmieniła moje życie. Dziękuję ci, Buck.

— Nie szukasz pracy?

— Nie. — Tężeję.

— Jesteś pewna? Hoduję truskawki. Najlepsze w Queensland. Słodkie i okrągłutkie jak tyłeczki Azjatek.

— Nie jestem zainteresowana, a teraz daj mi spokój, okej?

— No i znów te pazury. — Wzdycha. — Tutaj nie możesz pyskować, dziecinko.

DZIECINKO?!

— Słuchaj... zostało mi pięć kilometrów drogi, więc lepiej mnie nie wkurzaj.

— Pięć kilometrów? A gdzie się wybierasz? — Lustruje mnie wzrokiem.

— Chyba nie do Harrisa?

— Nie znam żadnego Harrisa.

— I dobrze, to wariat. Każdy trzyma się od niego z daleka, bo nie wiadomo, co mu strzeli do tego zdziczałego łba.

— Dzięki za ostrzeżenie.

Boże, trafiłam do wariatkowa.

— Czterdzieści dolców.

— Co?

— Ha! Żartowałem. Dałaś się nabrać! Ha-ha!

— Och.

— Z tą kasą, bo o Harrisie mówiłem serio. Powinien wypierdalać na pustkowiu. Tam jest miejsce dla takich jak on. Zdziczałych. A ty pewno idziesz do Chrisa? Będziesz bawiła jego dzieciaki? Szukali niedawno opiekunki. Cholera, zmarnujesz się przy tych bachorach. Słuchaj, dla ciebie idealną robotą będzie zbieranie truskaweczek. Wszystko legalnie. Umowa o pracę i nawet nocleg. Mam duży dom z basenem. Na pewno ci się spodoba. Nie musisz sobie urabiać rękawów, laleczko. Ze mną będziesz miała niekończące się wakacje.

Nie odpowiadam. Milcząc, piorunuję Bucka wzrokiem, a potem w pośpiechu szarpię za walizki i kontynuuję marsz. Z każdym krokiem czuję coraz większe zmęczenie, a może to już wyczerpanie?

Po dwóch kilometrach krajobraz zmienia się na jeszcze bardziej wiejski. Nie ma już sklepików. Właściwie to nie ma niczego prócz wyschniętej trawy i drewnianych zagród z końmi, przez co odnoszę wrażenie, że wylądowałam na Dzikim Zachodzie. Mijam niskie drzewa, koła walizek wzniesają za sobą pył i kurz, a żołądek znów domaga się uwagi. I kiedy kolejny raz dopadają mnie ponure myśli, Google Maps powiadamia o dotarciu do celu.

Mrugam zaskoczona. Stoję na szutrowej drodze, po mojej prawej rozciągają się jakieś dzikie trawy, a po lewej płot z poziomych, nieokorowanych desek o różnych brzegach, ale tej samej grubości i długości. Wsparte o metalowe słupki sprawiają wrażenie solidnych. Nerwowo zerkam w stronę dwóch łebków wciśniętych w niewielką przestrzeń między deskami. Psy są średniej wielkości, o krzepkiej budowie ciała i umięśnionych łapach. Jeden w kolorze gorzkiej czekolady, drugi jaśniejszy z łatami.

— Hej, pieski — szepczę łagodnie, mając nadzieję, że przestaną wściekle szczekać. — To pewnie wami będę musiała się zajmować, więc może zawrzemy porozumienie?

Psy nie reagują na moje próby. Co więcej, jeden, warcząc, zaczyna przeciskać się przez szparę w płocie.

— Nie, nie, nie! Zostań tam. — Mój głos drży. — Przysięgam, że nie jestem twoim wrogiem. Nie przyszłam niczego ukraść.

— Bicy! Co to za jazgot?! — Niespodziewanie dociera do mnie potężny, głęboki baryton, a zaraz potem psy milkną i siadają na zadkach, machając ogonami.

Wlepiam wzrok w brązowy stetson na głowie mężczyzny, a potem przesuwam spojrzenie na pociągłą, symetryczną twarz i zielone oczy, które w tej chwili świdrują mnie na wskroś. Z trudem udaje mi się nie skulić pod wpływem tego surowego spojrzenia.

— Przyjechałam do pracy — oznajmiam cicho.

Mężczyzna marszczy brwi, przez co wygląda na jeszcze bardziej ponurego.

— Aplikowałam z agencji pracy Jora. Czy to 1 McConnell Road?

— Tak.

— W takim razie dobrze trafiłam. Gdzie znajdę panią Grace?

— To pomyłka — mówi, zaciskając szczękę, a mnie miękną kolana, bo nagle uświadomiłam sobie, że mam przed sobą nikogo innego jak... Zwierza w ciemnoszarym garniturze!

Oszalałaś.

To musi być on! Zapamiętałam ten wściekły wyraz twarzy. Tylko co, do cholery, robił w Wamuran, i to za TYM płótem?!

— Jestem pewna, że to nie jest pomyłka. — Obstawę przy swoim.

— Taa? — Mruży oczy. — Spływaj stąd, zanim wypuszczę psy.

— Mam na imię Sky. Czy mógłby pan zawołać panią Grace? — ciągnę, choć czuję niepokój.

Chryste, nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęłam zawracać się do niego per pan. Było w nim coś władczego, coś, co kazało mi się trzymać z daleka. No i te psy. Cholera jasna.

Nieokrzesany jaskiniowiec.

— Widzisz ten napis? — Wskazuje ruchem głowy na tabliczkę przytwierdzoną do desek.

— „Teren prywatny”?

— Bingo. Zjeżdżaj.

— Ale... ta oferta — mamroczę ogłupiona.

— Na pewno nie dotyczyła ciebie! — Podnosi głos.

Jak to: nie dotyczyła? Chyba nie chciał mi powiedzieć, że już mają idealną kandydatkę na moje miejsce?

Czuję, jak złość przejmuje kontrolę nad moim ciałem. Adrenalina buzuje we krwi i niewiele myśląc, podbiegam do płotu.

— Co to ma być?! — wrzeszczę. — Nie można sobie tak żartować z ludzi! To wbrew wszelkim prawom etyki! Przyjechałam tutaj z Brisbane. Jestem zmęczona, głodna i oczekuję rozmowy z panią Grace, więc niech pan łaskawie ruszy swoje cztery litery i ją do mnie przyprowadzi!

— Słucham?

— Słuchaj pan do woli. Nie ruszę się stąd, dopóki nie porozmawiam z panią Grace.

— Ty mówisz do mnie?

— A do kogo innego? — prychem, unikając jego wściekłego spojrzenia. — Czekam! Proszę się pospieszyć!

— Prosisz się o gips, dziolcha — warczy. — Spierdałaj stąd. Drugi raz nie będę powtarzał i otworzę bramę, a wówczas moje psy rozszarpną cię jak zabawkę.

— Ja też nie będę powtarzać — odpowiadam z równym zacięciem. — Ach, i tak nawiasem mówiąc, to groźby są karalne.

Uważaj, Zwierzu. Właśnie uruchomiłeś tryb ukurzonej Sky.

— Grace nigdy nie zatrudniłaby takiej pyskatej pchły.

— A jednak! — syczę. — Skończmy to. Chcę porozmawiać z panią Grace. Natychmiast!

— Noah? Co się tam dzieje? Z kim rozmawiasz?

Mocujemy się ze Zwierzem na spojrzenu, kiedy dociera do nas czyjś melodyjny głos. Mało brakuje, abym zaczęła tańczyć z radości, kiedy widzę kobietę w czarnych dżinsach i białej koszuli. Idąc w naszą stronę, poprawia kapelusz. Wygląda na nieco ponad czterdziestkę.

— Przypałała się jakaś — buczy Zwierz.

— Och! Czy to nie jest przypadkiem ta dziewczyna z agencji pracy?!

Kimkolwiek jesteś, dziękuję ci za to, że sprawiłeś ten cud.

— Prędnij się z cyrku — mamrocze mężczyzna. — Wracaj do domu. To nic ważnego.

— Tak! To ja! Sky Evans z Brisbane! — wykrzykuję. — To ja odpowiadałam na pani ogłoszenie!

— Jankesi nie są z Brisbane. To oszustka. — Zwierz nie ma zamiaru odpuścić.

Jankesi? Oszustka?!

— Grace Millis. Bardzo się cieszę, że przyjechałaś. Noah, weź psy.

— Chcesz mi powiedzieć, że zatrudniłaś tę pchłę do pracy na farmie? — Mężczyzna napina się i chyba szykuje do ataku. — Oszalałaś?!

— Proszę wybaczyć Noah, zwykle nie jest taki obcesowy. — Grace patrzy na mnie z nadzieją. — Wejdzie pani do środka? Napijemy się kawy i wszystko omówimy.

— Omówicie?! Co tutaj jest do omawiania?! Przecież to chuchro nie będzie w stanie unieść wiadra z wodą! — wydziera się. — To musi być, kurwa, jakiś żart!

Nie lubi mnie i chce się mnie pozbyć ze swojego terytorium. Problem jednak w tym, że zadarł ze Skylar Evans.

— Myślałem, że poszukasz kogoś odpowiedniego! — huczy. — Ja pierdołę.

— A co ze mną jest nie tak? — pytam, unosząc wysoko głowę. — Przyjechałam do pracy. Mam zamiar sumiennie wykonywać swoje obowiązki.

— Taa, do pracy. I co będziesz tutaj robiła? To nie miejsce dla takich jak ty!

— Noah, na litość boską! Daj jej spokój! Weź psy i przestań pluć jadem. Sky, prawda? — Kobieta zerka na mnie współczująco. — Wybacz to przedstawienie. Upały dają się nam we znaki.

Zwierz chwyta psy za obrozę, otwiera mi furtkę, zaprasza mnie gestem do środka i prowadzi czworonogi w kierunku jakiegoś budynku gospodarczego.

Waham się.

— Rozumiem pani obawy. Po tym wszystkim, co się stało, sama pewnie nie chciałabym wejść, ale zapewniam, że to się nie powtórzy. Proszę mi zaufać. Widzę, że jest pani zmęczona. Podróże z bagażami są męczące, prawda?

— Nie ma pani nikogo na moje miejsce? — upewniam się cicho.

— Nie.

— I nocleg wraz z wyżywieniem są aktualne?

— Oczywiście. Wszystko, co było w ofercie.

Zwierz nie było.

— Dobrze. — Wzdycham i wchodzę na teren prywatny, ciągnąc za sobą walizki.

3

Noah

— Powiedz mi, że to nieprawda. Powiedz, że nie zatrudniłaś dziewczyny, która ledwo wyskoczyła z pieluch, do pracy na farmie! — krzyczę na Grace, krążąc po kuchni jak wściekła osa.

Nie mogę zrozumieć, dlaczego to zrobiła, przecież wcześniej uzgodniliśmy profil ewentualnych kandydatów i na pewno nie znalazła się w nim młoda, seksowna dziewczyna, targająca dwie walizy. Kurwa, jej obecność wydawała się prośbą o kłopoty!

— Nie przesadzasz? — pyta, opierając rękę na biodrze. — Poza tym była wykończona, nie mogłam jej odesłać z kwitkiem. Pozwoliłam, żeby zajęła pokój. Gdybyś tylko widział tę wdzięczność w jej oczach!

— Jechała z Brisbane! — warczę. — To zaledwie pięćdziesiąt kilometrów! Zastanów się. Jeśli tak cholernie zmęczyła ją prosta droga, to jakim cudem miałyby nam pomagać?! To chuchro złamie się jak zapalka przy byle wysiłku!

— Może wcale nie będzie musiała pracować fizycznie?

— Co? — Patrzę na Grace oniemiały.

— Mogłaby mi pomóc w kuchni. Zresztą tak brzmiała treść ogłoszenia. Szukaliśmy również osoby do prac przy przygotowywaniu posiłków. Nie pamiętasz? Mówiłam, że...

— Nie nadaje się! — przerywam jej. — Do niczego! Ma zniknąć!

— Skąd możesz to wiedzieć? Nawet jej nie poznałeś, a od razu skreślasz.

— Tak się składa, że miałem przyjemność poznać. W Brisbane na Albert Street. Co, zdziwiona? Stała z pustym kubkiem po kawie i zbierała pieniądze.

— Och!

— Dlatego uważam, że się nie nadaje.

— Jak możesz tak myśleć?! Nikt nie prosi o pieniądze dla rozrywki. Może potrzebuje pomocy? Nie możemy jej teraz zostawić.

Wpatruję się w Grace i zastanawiam, gdzie, do jasnej cholery, podział się jej rozsądek. Zwykle jest bardzo ostrożna. Dziesięć razy sprawdza pogodę, zanim zdecyduje się gdziekolwiek wybrać, nie przechodzi pod drabiną, bo wierzy w jakieś bzdury, a teraz zgadza się zatrudnić jakąś podejrzaną Amerykankę, która pasuje tutaj jak wół do karety?!

— Może ścigają ją listem gończym — parskam.

— A może po prostu jest miłą, porządną dziewczyną, która potrzebuje tymczasowej pracy?

— Nie odpuszczisz, co? — syczę.

— Noah, naprawdę mam dobre przecucia. Nie wyrzucamy jej.

Biorę głęboki wdech. To nie tak, że nie chcę pomóc. Jestem związany z kilkoma organizacjami, a Local Heroes mianowało mnie na jednego z członków. Nigdy nie odwracałem się plecami do potrzebującego, bo wiem, jak cholernie trudno jest radzić sobie w pojedynkę, kiedy beznadzieja zagląda w najgłębsze zakamarki duszy. Niemniej jednak w tej konkretnej sytuacji ogarniały mnie wątpliwości. A co, jeśli to jedna z tych znudzonych życiem młodych dziewcząt, uciekających z domu w poszukiwaniu przygody? Takie jak one zaledwie po tygodniu pracy zwijają manatki, mówiąc krótkie „pa”. Nie potrzebuję smar-kuli, którą trzeba niańczyć. Nie mam na to czasu. Ani chęci. Przede wszystkim chęci.

— Czym cię kupiła? — Naprawdę jestem ciekaw.

— To była jedyna kandydatka.

— Dlatego się za nią wstawiasz? Bo jest jedyną?

— Jest młoda, na pewno szybko przyswoi sobie zasady panujące na farmie. Ma potencjał.

— Jeżeli za potencjał uważasz zadzieranie nosa, to rzeczywiście jest całkiem spory.

— Podpiszesz umowę? Obiecałam jej, że jutro będzie wiedziała, na czym stoi. Musimy zatem podjąć jakąś decyzję teraz. Nie wywieram presji, ale moim zdaniem powinieneś ją zaakceptować. Chociaż na próbę.

— Taa — mruczę niezadowolony. — I wierzysz, że stawi się do pracy po pierwszym pierdnięciu wróbelka*?

— Przekonajmy się.

Nabieram powietrza w płuca i powoli wypuszczam. Zaczynam przegrywać bitwę i mam tego pełną świadomość. Grace jest nieugięta i żadne argumenty do niej nie docierają.

Spoglądam na zegar wiszący na ścianie. Jest już późno. Bez słowa zasiadam na białym drewnianym krześle i splatam dłonie na blacie stołu.

— Długopis — mówię oschle.

— Podpiszesz?!

— Zastanowię się. Gdzie jest ten cholerny długopis?

Grace patrzy na mnie, jakby próbowała odczytać moje intencje, ale zaraz się reflektuje i w pośpiechu zaczyna otwierać wszystkie kuchenne szuflady w poszukiwaniu długopisu.

* *Up at sparrow's fart* — wstać o świcie, dosł. „po pierwszym pierdnięciu wróbelka” (przyp. aut.).

— Nie zapomnij o dacie. O, tutaj.

— Ja pierdolę — mamroczę, kiedy z szerokim triumfalnym uśmiechem podaje mi długopis.

— I tutaj.

— To się, kurwa, nie dzieje.

Przełykam z trudem ślinę. Jestem pewny, że tego pożąduje. Jednak nie mogę się wycofać. To nie w moim stylu. Zawsze stawiałem czoła przeciwnościom i tym razem nie będzie inaczej.

Sky

Budzę się, słysząc wściekle ujadanie psów. Nie mam pojęcia, która godzina, ale słońce wisi już wysoko na niebie, więc raczej nie wstałam razem z kurami. Krzywię się. Czy tutaj są w ogóle jakieś kury? Nie żebym nalegała na ich obecność. Po prostu jestem ciekawa.

Zaciskam usta w wąską kreskę, przypominając sobie słowa taty: „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła”. Nigdy nie rozumiałam tego powiedzonka. Dlaczego ciekawość została uznana za grzech? Przecież tak naprawdę nie jest niczym złym. Z drugiej strony może tylko szukam wymówek na swoją wścibskość? Niech mnie. Skończę w bulgoczącym kociołku.

Powoli wstaję z łóżka i rozciągam zastałe mięśnie. Materac okazał się twardszy od tego hotelowego. Obrzucam wzrokiem prostokątny pokój, w którym spędziłam noc. W oknach wiszą delikatne zasłonki, a panele podłogowe mają przyjemny odcień jasnego drewna, który dobrze komponuje się ze ścianami w kolorze kawy z mlekiem. Na niewielkim stoliczku dostrzegam wazon z wysuszonymi kwiatami, a tuż obok niego długopis i kartkę złożoną na pół. Rozglądam się wokół, jakbym sprawdzała, czy prócz mnie jeszcze ktoś jest w pomieszczeniu, a potem niepewnym krokiem podchodzę bliżej. Nie wiem, czego się spodziewać. Wycieram mokre od potu dłonie w sukienkę i nagle dociera do mnie, że nawet nie przebrałam się w piżamę.

Ani nie wzięłaś kąpieli. Cuchniesz.

To prawda. W popłochu dopadam do jednej z walizek i wyjmuję z niej kosmetyczkę. Czuję na twarzy wczorajszy make-up, który waży tonę, i szybko wlewam na wacik płyn do demakijażu. Wiem, że to niewiele i na pewno nie sprawi, że będę wyglądać jak Pamela Anderson, ale wszystko jest lepsze niż panda pod oczami.

Rozczesując splątane włosy, wciąż spoglądam w kierunku stoliczka.

Och, po prostu zobacz, co tam jest!

A jeśli to wcale nie zostało zaadresowane do mnie? Wklepując krem w skórę, próbuję przekonać głowę, że nie powinnam zaglądać do środka kartki. Zdejmuję sukienkę i wkładam dżinsowe szorty oraz biały top na ramiączkach. Jestem pewna, że nie zmarznę, a prognoza pogody w telefonie, informująca o dwudziestu czterech stopniach, tylko to potwierdza.

Zamykam walizkę i w tym samym czasie rozlega się ciche pukanie do drzwi. Nie mam czasu na panikę, bo zanim mój rozum wymyśli jakąś absurdalnie stresującą historyjkę, do pokoju wchodzi uśmiechnięta Grace.

Och, ta kobieta jest prawdziwym złotem. Najbardziej życzliwa spośród wszystkich poznanych osób w kraju kangurów. Jej łagodne niebieskie oczy patrzą na mnie z sympatią i od razu ogarnia mnie zadziwiający spokój. Przypomina to uczucie, kiedy zatrzymujesz się na kilka dni u swojej przyjaciółki albo nocujesz u ulubionej ciotki podczas letnich wakacji.

— Wyspałaś się, kochana? — pyta z troską.

— Tak, bardzo dziękuję. — Wykręcam palce. — Czy wiadomo już, co z moją pracą?

— Och, nie przeczytałaś. — Wzdycha, wskazując głową na stoliczek.

Mówiłam!

No dobra, mówiłaś. Punkt dla ciebie, głowo. A teraz się zamknij, bo chcę kontynuować rozmowę na poziomie z Grace.

Na poziomie krawężnika?

Ugh! Nienawidzę swoich wewnętrznych krytyków, odbierających mi pewność siebie. Zawsze wiedzą, kiedy zaatakować. Do diabła z nimi!

— Masz tę pracę. — Grace uśmiecha się coraz szerzej. — Wystarczy, że podpiszesz umowę, i mogę zacząć oprowadzać cię po domu, a potem wyjdziemy na zewnątrz i...

— Naprawdę mam robotę? — wpadam jej w słowo. — Naprawdę się udało?

— Tak, kochana. Naprawdę się udało.

Zanim się orientuję, z moich ust wydobywa się głośne „aaa!”. Unoszę ręce, podskakując jak piłeczka pingpongowa.

No i to byłoby na tyle, jeśli chodzi o rozmowę na poziomie.

Rozsadza mnie radość, a także ulga, że nie będę musiała wlec się z bagażami przez kolejne wsie i miasta w poszukiwaniu noclegu i zatrudnienia. Farma nie była moją wymarzoną lokalizacją, ale w tym momencie nie wyobrażam sobie, że mogłabym znaleźć się gdzie indziej. No, może poza tłoczonym Brisbane i szklanymi wieżowcami. Cholera, w AusMedia były biura na wypasie.

— Chodź, nie mamy czasu do stracenia. — Grace przywołuje mnie do porządku, przez co jestem ciut zawiedziona, ale szybko przytomnieję. Nie przyjechałam tutaj dla zabawy. Od teraz będę pracować na farmie, nućąc pod nosem *Rolnik Sam w Dolinie*. Będę nosiła ogrodniczki i żuła kłosa traw, spoglądając z dumą na baloty siana.

Litości!

— Będę najlepszą farmerką. Słowo honoru — wypalam, przykładając dłoń do serca.

Grace śmieje się, odrzucając głowę. Chyba ją rozbawiłam.

— Jesteś bardzo zabawna — potwierdza i obejmuje mnie ramieniem. — Coś czuję, że wprowadzisz wiele barw do naszego życia.

— Moją specjalnością są barwy rozpaczy — rzucam, wspominając słowa wuja Earla. Brat mamy był bardzo specyficzną osobą, którą albo się kochało, albo się jej nienawidziło. Ja trafiłam gdzieś pomiędzy. Czasami budził we mnie współczucie swoim chaotycznym życiem, a czasem doprowadzał do szału, kiedy wpadł w ciąg alkoholowy i nazywał mnie głupią trzpiotką. Każdy wiedział, że wuj ma problem, i nikt nie zwracał uwagi na jego słowa.

Nikt prócz mnie.

Nie potrafiłam się bronić. Zresztą nikomu nawet nie przyszło na myśl, żeby nauczyć mnie samoobrony przed tym złym, podłym światem, którym rządzą jeszcze gorsi ludzie.

— Barwy rozpaczy?

— Wszelkiego rodzaju szarości, brązy, no i czerń.

— Brzmi jak garderoba Noah!

Noah. Zwierza Noah w ciemnoszarym garniturze?

— Byłam pewna, że pani mąż wykopie mnie za drzwi. To znaczy furtkę.

— To nie jest mój mąż — chichocze. — A co do reszty, to na pewno się przyzwyczaisz. Noah działa według swoich schematów. Warto wypracować sobie rutynę, dzięki czemu będziesz wiedziała, kiedy zniknąć z pola rażenia.

Mruka żartobliwie i prowadzi mnie w kierunku pokoju dziennego. Mieszkanie nie jest tak duże, jak mi się wcześniej wydawało. Ma zaledwie dwa pokoje, kuchnię i łazienkę. Sprzątanie na takim małym metrażu nie powinno być kłopotliwe.

— Czy... zatrudniała pani kogoś wcześniej?

— Przed tobą był chłopak z Tennessee, wyjechał pół roku temu. A jeszcze przed nim mieliśmy kucharkę z Rzymu.

— Z Rzymu? Włoszka?

— Tak. Nie dziw się, tutaj poznasz wiele narodowości. Mamy w okolicy Azjatów, Anglików, Szkotów. Co do ostatnich, to Noah ma w rodzinie kilku, ale nie wiesz tego ode mnie.

— To taka tajemnica?

— Nie, ale pewnie nie chciałby, żebym omawiała jego zyciorys. Noah jest dość skryty.

— I agresywny — mruczę pod nosem. Będę musiała wyryć sobie jego grafik w pamięci, bo zdecydowanie nie chcę ponownie stanąć oko w oko ze

Zwierzem. Nawet nie wiedziałabym, jak zareagować. Co powiedzieć? Podziękować? Ale zaraz... za co?

Za niezjedzenie żywcem?

— Do twoich obowiązków będzie należało przede wszystkim utrzymanie czystości w domach oraz na całej farmie. Masz prawo jazdy?

— Nie — jęczę.

Moja przygoda z prawem jazdy to pasmo niekończonych się pomyłek.

— Ale umiesz jeździć autem?

— Nie.

— A motocyklem?

— Nie.

— Quadem?

— Rower wchodzi w grę? Potrafię nawet bez trzymanki.

Czy umiejętność prowadzenia pojazdów silnikowych podważy moją kandydaturę? Myślę o tym coraz intensywniej, zapominając, że przecież dostałam tę cholerną pracę.

Grace nie wygląda na złą, a jedynie przejętą, ale dla mnie to prawie to samo. Nie lubię rozczarowywać ludzi, czuję się wtedy okropnie.

— Nie mamy roweru — mówi po długiej chwili milczenia. — Pytałam o to wszystko, bo teren farmy jest bardzo rozległy. Łącznie dziesięć hektarów. Będziesz miała trudności z poruszaniem się wyłącznie o własnych siłach. Hm, a może umiesz jeździć konno?

— Nie.

Błagam, czy możemy już skończyć ten teatrzyk żenady?

— Coś wykombinujemy. Nie martw się — pociesza mnie. — Od poniedziałku do piątku pobudka o piątej rano. Weekendy są do twojej dyspozycji i możesz robić, co chcesz. W tygodniu jednak wymagamy od pracownika pełnego zaangażowania. Pierwszą rzeczą, którą zrobisz po przebudzeniu, będzie wyjście na dwór i sprawdzenie, czy w ogrodzeniu nie ma dziur. Kangury uwielbiają niszczyć, to prawdziwe szkodniki.

Kangury?! Te z wielką torbą na brzuskach?! Moje oczy powiększają się do nienaturalnych rozmiarów. Jestem szczerze zachwycona tym, że być może zobaczę te majestatyczne zwierzęta. Skaczące symbole Australii.

— Potem konieczne jest nakarmienie zwierząt. Mamy pięć koni, sześć owiec, dwa psy, które zdążyłaś już poznać, i cztery koty, a te głównie siedzą w stodole.

Jestem w szoku.

— Podejrzewam, że worki z paszą już będą przyszykowane, tak że nie będziesz musiała ich dźwigać. Wystarczy, że nasypiesz odpowiednią porcję. Następnie wrócisz do domu i zajmiesz się porządkami, oczywiście jeśli jest

ku temu potrzeba, bo jeżeli będzie czysto, to możesz od razu przejść do przygotowywania posiłków. Szczegółowe rozpiski zostaną przypięte magnesami na lodówce w kuchni, więc nie musisz się denerwować, że zrobisz coś nie tak. Przewiduję półtoragodzinną przerwę i wynagrodzenie płacone w formie dniówek.

— Super — mamrocze. W zasadzie nie mam na co narzekać. Budzenie się o piątę rano brzmiądo przerażająco, ale za to soboty i niedziele były wolne. Miałam dach nad głową i możliwość korzystania z lodówki tyle razy, ile będę chciała, a poza tym towarzystwo Grace i jej zwierząt.

W tym Noah.

Nieważne. Z czasem nauczę się go unikać. Zresztą może nawet tutaj nie mieszka? Może też wykonuje jakąś robotę? Tylko dlaczego miał pretensje do Grace, że mnie zatrudniła? A może to jej brat? To miałyoby sens, prawda?

Nie mam czasu zastanowić się nad tym, bo przechodzimy do kuchni, a stamtąd pędzimy do łazienki. Grace pokazuje mi zawartość wszystkich szafek i zakamarków. Robi to z autentyczną radością, opowiadając o tym, jak paskudną mieli zimę.

— Zimą? — upewniam się, a trybiki w mojej głowie obracają się coraz szybciej i jestem pewna, że zaraz dojdzie do spięcia. Zima w Australii oznaczała, że po drugiej stronie świata trwa lato i odwrotnie. Kiedy tutaj rozpoczęło się lato, tam panowała zima.

Ugh! Chyba nigdy do tego nie przywyknę.

— Szczególnie końcówka sierpnia. — Grace wzdycha. — Zaledwie dwańście stopni w dzień.

— Żartujesz? Dwanaście stopni zimą?

— Ziąb, prawda?

— Czasami tak wyglądają wiosny w Portland!

— Och, to okropne.

— Nie, okropne jest lato, kiedy ciągle pada deszcz, a suchych, upalnych dni jest jak na lekarstwo. Moje miasto z reguły jest szare i nijakie. Myślę, że zupełnie do niego nie pasuję. Kiedyś razem z Rosie wypełnialiśmy śmieszny quiz w necie. Wynik miał być krajem, do którego przynależymy. Wylosowałam Hiszpanię i do osiemnastego roku życia byłam święcie przekonana, że resztę swoich dni spędzę w słonecznym Madrycie u boku niepoprawnie seksownego Hiszpana. Przyznaję, moje plany nie do końca się ziściły, ale z drugiej strony porażki przekuły się w coś zupełnie nowego.

— Rosie?

— Moja siostra — wyjaśniam krótko.

— Podobna mi się twój optymizm, Sky. Poza tym masz rację, trzeba wierzyć, że los daje nam coś dobrego. Może niekoniecznie to, co sobie wymarzyliśmy, ale coś równie wartego uwagi. Teraz wyjdziemy na zewnątrz. Masz jeszcze jakieś obuwie prócz tramppek?

Mokasyny, szpilki, klapki, espadryle, tenisówki...

— Chodzi mi o takie, w których mogłabyś pracować.

— Niezupełnie.

— Jaki rozmiar nosisz?

— Siódemkę — rzucam, przyglądając się swoim stopom. Niestety, kiedy Bóg rozdawał wzrost, ja stałam w kolejce po... sama nie wiem co. Być może czapkę błazna. Nie jestem wysoka. Mierzę zaledwie sto sześćdziesiąt osiem centymetrów.

— Noszę o dwa rozmiary większe, ale nie ma co się martwić. Na pewno masz jakieś tenisówki, prawda?

— Mhm.

— Świetnie.

Coraz silniej dociera do mnie, jak bardzo nie jestem przygotowana do funkcjonowania na farmie. Czuję się zmęczona, mimo że nawet nie zaczęłam wypełniać swoich obowiązków.

— Wystarczą? — piszczę.

— Na kilka dni, potem kupimy ci coś odpowiedniejszego. — Grace znów obejmuje mnie ramieniem. — Głowa do góry!

Porywasz się z motylką na słońce! Kto ci pomoże, jeśli upadniesz w jakieś tarapaty? Nie bądź niemądra, Skylar! Nie poradzisz sobie!

Zamieram, gdy wyobraźnia przywołuje mi słowa mamy. Pamiętam jej zaciętą minę i to, jak piorunowała mnie wzrokiem, kiedy się dowiedziała, że złożyłam podanie o wizę. Z początku zrzuciłam to na karb troski, bo przecież żadna matka nie poradziłaby sobie z wiadomością, że jej córka wylatuje na drugi koniec świata do pracy, której jeszcze nie ma, ale z czasem zrozumiałam, że to zmartwienie na inną przyczynę.

Jak ty sobie to wyobrażasz? Jak chcesz dać sobie radę? Sky, przecież wiesz, jaka jesteś.

Wiedziałam i dlatego to zrobiłam.

Grace otwiera przede mną drzwi wyjściowe i uderza mnie ciepłe powietrze, którym się rozkoszuję. W jakiś dziwny sposób spycham na bok niewygodne urywki z przeszłości. Wpatruję się w szutrową nawierzchnię i połacie zielonej trawy, a następnie przenoszę wzrok na wysokie drzewa, które rosną kilkadziesiąt metrów dalej, tworząc naturalną ścianę.

— Co tam trzymacie? — pytam zaintrygowana, wskazując na budynek pokryty blachą. Wygląda na stary i często używany.

— To garaż — wyjaśnia. — Na lewo jest nasza stajnia. Widzisz?

Dostrzegam pomalowany białą farbą pokaźny obiekt.

— Czy konie są razem z owcami?

— Mądrała z ciebie. — Śmieje się. — Konie i owce przebywają pod jednym dachem, ale mają osobne pomieszczenia. Dla koni przeznaczylismy pięć boksów, a dla owiec jedną dużą przestrzeń.

— Nie robią sobie krzywdy?

— To jedna rodzina. Noah wykupił wszystkie od handlarza, który chciał je przeznaczyć na mięso.

— Na mięso? — Drzę.

— Na rzeź. Na szczęście my nie sprzedajemy naszych zwierząt. Nie jesteśmy farmą produkcyjną.

— Każdy jest świadom, skąd się biorą steki i burgery, ale... — Biorę wdech. — Dlatego ograniczyłam spożywanie mięsa.

— To niełatwy temat. Konie też są z drugiej ręki. Była z nami jeszcze psinka Lollies. Noah mówił, że biegała wystraszona po ulicy. Miała zaledwie pięć miesięcy, kiedy odeszła. Na jej miejsce wskoczył Coco, czyli ten pies w łaty.

— Szkoda tej małej — szepczę.

— Takie życie, nie? Nic nie zrobimy.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

GORĄCY ROMANS Z MOTYWEM GRUMPY & SUNSHINE NA AUSTRALUSKIEJ FARMIE

Kiedy Noah spotyka Sky — tak mógłby brzmieć tytuł komedii romantycznej. Albo pierwsze zdanie w książce o wielkiej miłości. Tymczasem, kiedy tych dwoje spotyka się po raz pierwszy, dziewczyna jest w desperacji. Dopiero co przeleciała przez pół świata, doświadczyła największego jetлага w historii i przekonała się, że jej wielkie australijskie marzenie o fascynującej pracy na antypodach legło w gruzach, jest więc po prostu wściekła. A tu jeszcze przystojny koleś w drogim garniturze wrzuca jej do kubka po kawie dziesięć dolarów. Jak żebracze.

Litując się nad Sky, Noah nie ma pojęcia, że drobnym gestem dobrej woli prowokuje los. I wcale nie jest zadowolony, gdy zauważa obdarowaną pieniędzmi „żebraczkę” przed bramą swojej farmy...

**Jaką tajemnicę skrywa Noah?
Dlaczego jego serce jest całe w bliźnach?
Co zrobi urocza Sky, kiedy się o tym dowie?
Czy tych dwoje będzie w stanie oprzeć się wzajemnej fascynacji?**

Patroni medialni:



ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-289-0190-2



9 788328 901902

Cena: 49,90 zł